

— Sztylet? Nigdy w świecie! To prosta szprawa. Przeważa. Trzymał ją w ręku, a pani, odpychając mnie, uklęła się, w ten sposób sama pani na siebie spełniła wyrok.

Młoda kobieta zrozumiała.

— A! — krzyknęła — jaka trucizna? Jaką śmierć pan mi przeznaczył?

— Uprzedzałem pani, że kara będzie straszna.

— Jaka trucizna? Jaka?

— To nie trucizna.

— Więc cóż takiego?

— To małe doświadczenie naukowe. Nauka o mikrobach teraz jest w modzie, przygotowałem więc dla pani coś z dziedziny mody. A że pani jest kobietą wyjątkową, więc choroba pani będzie równie wyjątkową.

— Co to za choroba?

— Dżuma azyatycka.

I bandyta, skłoniwszy się elegancko, wyszedł. Późno w nocy L'Amorce znalazł Paulina Broqueta w małej kawiarni.

— Panie szefie, są nowiny.

— Jakże, mój chłopcze? Co się stało?

— Jeszcze nie wiem. Ale przed pół godziną widziałem, jak z domu pani Garitzy wychodził Zigmar.

— On?

— Tak. Czuwałem nad domem przez całą noc i nie widziałem, jak wychodził. Musiał więc tam przyjść przed wieczorem.

Paulin Broquet zmarszczył brwi.

— A! A! to bardzo poważne. Czy jesteś pewny, że to był on?

— Tak, panie szefie. Zdziwiłem się bardzo, ujrawszy go i przypatrzyłem się dobrze, żeby się nie pomylić. To był on!

— Trzeba dowiedzieć się. Jedźmy tam.

W samochodzie detektyw rzekł:

— A przecież to nie jest dzień, w którym miał przyjść po dokumenty. Wiedział, że ich jeszcze нема. Przyszedł chyba po wyjaśnienia... Ach! żebyśmy nie przybyli za późno!

Samochód zatrzymał się, detektyw i L'Amorce weszli do domu i szybko wbiegli na schody. Drzwi od mieszkania nie były zamknięte na klucz.

— Zapóźno! — rzekł Paulin Broquet.

W salonie światło paliło się, na podłodze leżała młoda kobieta.

— Umarła? — krzyknął L'Amorce.

Paulin Broquet pochylił się.

Nie, zemdlona. Zabierz tę walizkę i eńdź ze mną.

Nie tracąc czasu na cudenie, wziął na ręce młodą kobietę, zniósł ją ze schodów i umieścił w samochodzie.

— Do willi! — rzekł — szybko!

Sidi puścił samochód całym pędem. Puste o tej porze ulice Paryża sprzyjały szalonej jeździe i samochód zatrzymał się przed kratą willi w lasku Bulońskim, zanim Paulin Broquet zdążył ocucić młodą kobietę. Sidi zatrzymał w umówiony sposób, żeby mu otworzyć bramę. Na balkonie ukazała się w szlafroku pani Broquet.

— Co się stało, Sidi?

— Wszystko w porządku, proszę pani — odparł uspokajająco szofer, zajeżdżając przed dom.

Później wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi.

Paulin Broquet i L'Amorce wnieśli do willi chorą. Potrzebujemy twojej opieki, moja droga — rzekł detektyw do żony.

Położono chorą na łóżko w pokoju gościnnym, rozebrano ją i poczęto energicznie cucić. Po długich zabiegach chora odetchnęła głęboko i otworzyła oczy, przez chwilę patrzyła błędnie, nie poznając nikogo. Wreszcie wyszeptała z radością:

— Paulin Broquet! To pan. A pani? Tak, żona!

Pani Broquet wyciągnęła do niej z uśmiechem dłoń. Ale chora cofnęła się z przerażeniem.

— Ach! proszę mnie nie dotykać! — krzyknęła. — Proszę odejść odemnie, proszę odejść!

Paulin Broquet i jego żona spojrzeli ze zdziwieniem.

— Trzeba spalić suknie — rzekła pani Garitza — bieliznę, pościel i to łóżko, a mnie proszę wynieść stąd, wyrzucić...

— Ależ dlaczego? dlaczego?

— Tak! tak! natychmiast! — wołała gorączkowo chora — proszę mnie stąd wynieść, mam w sobie śmierć, zarazę, najstraszliwszą zarazę. Odejdźcie odemnie!

Paulin Broquet, przeciwnie, zbliżył się do łóżka i rzekł łagodnie:

— Niech się pani uspokoi, to ja i moja żona, nic pani nie grozi. Przeciwnie, chcemy panią ratować.

— Jestem chora, noszę w sobie najstraszliwszą chorobę — wołała młoda kobieta, wyrывая rękę.

— Od kiedy? Jakim sposobem? Niech pani mówi.

— Zigmar był u mnie, zastrzyknął mi chorobę, zastrzyknął dżumę azyatycką.

I pani Garitza pokazała znak po uklęciu.

Paulin Broquet i jego żona zadrżeli. Ale nie cofnęli się od łóżka.

Odwagi, droga pani — rzekła pani Broquet. — Zrobimy wszystko, żeby panią uratować. Przyjaciel nasz, lekarz Robert, jest specjalistą tych chorób, wyleczy panią.



Zbadał starannie chorą.

— Nie, pani, nic mi nie pomoże. Dziękuję pani z całego serca za jej dobroć, ale...

— Powtarzam pani — przerwała pani Broquet — że doktor Robert wyleczy panią.

Tymczasem Paulin Broquet wydawał już polecenia swemu pomocnikowi.

— Weźmiesz samochód i jak można najprędzej, pojedziesz do doktora Robert'a. Powiesz mu co wiesz i dodasz, że chorą zastrzyknięto dżumę. Poproś doktora, żeby się pośpieszył.

Dobrze, panie szefie.

W chwilę później rozległ się dźwięk trąbki oddalającego się w szalonym pędzie samochodu.

Paulin Broquet powrócił do pokoju chorej, niosąc szkatułkę z narzędziami i lekarstwami.

— Zanim przyjedzie doktor — rzekł — zrobimy małą operację.

Otoczył chore ramię gumowym pierścieniem, poczem przy pomocy lancetu puścił krew, zbierając ją do miednicy. Krew płynęła obficie czerwona i świeża, ale w miednicy przy brzegach poczęły tworzyć się jakby fioletowe koloru zielonkawatego. Paulin Broquet zobaczywszy to, zmarszczył mimowoli brwi i zamienił szybkie spojrzenie ze żoną. Chora dojrzała to spojrzenie.

— Jestem zgubiona, prawda? — zapytała. — Pan to poznał? Jestem otruta.

— Ależ nie!

— Tak! Nie mam żadnych złudzeń. Ten człowiek nie ma litości dla swych ofiar.

Paulin Broquet nie miał siły dłużej okłamywać biednej kobiety.

— Istotnie — rzekł — została pani skaleczona. Ale przez upuszczenie krwi działanie trucizny zostało powstrzymane. Reszta należy do lekarza. Dr. Robert posiada olbrzymią wiedzę. Dokonuje cudów.

Dzięki szybkości, jaką rozwijał Sidi, doktor Robert wkrótce nadjechał. Zobaczywszy miednicę z krwią, rzekł:

— Doskonała myśl, proszę to zachować dla analizy.

Zbadał starannie chorą, zwracając specjalną uwagę na źrenice oczu, po których poznaje się rodzaj trucizny.

— Tak, to trucizna organiczna — rzekł wreszcie. — Powiedziano pani, że to jest dżuma?

— Tak jest.

— Może bandyta chciał panią nastraszyć. Wątpię bardzo, żeby mógł mieć kultury bakterii dżumy. Zresztą dżuma jest nam znana i możemy z nią walczyć.

Mówiąc to, lekarz przygotował strzykawkę i zastrzyknął chorej środek przeciwdziałający dżumie.

— Niech się pani nie przestraszy gorączki — rzekł do niej — to będzie dobrym znakiem. Zresztą wszyscy będziemy czuwać nad panią.

Później doktor udał się wraz z detektywem do jego gabinetu, gdzie zajął się analizą krwi. Po dość długim oczekiwaniu padł wyrok.

— Morderca nie kłamał! — rzekł doktor.

— Więc to jest dżuma azyatycka?

— Tak, niema wątpliwości. I nie taję, że ratunek jest bardzo wątpliwy. Nie opanowaliśmy dostatecznie tej choroby. Zrobię oczywiście, co będę mógł, ale za skutek nie ręczę. Przybyłem zapóźno; choroba poczyniła takie postępy, że walka z nią jest prawie niemożliwa. Zresztą do ostatniej chwili nie wolno mi odbierać nadziei.

Chora tymczasem zasnęła i spała długo i spokojnie. Gdy zbudziła się, czuła się zupełnie dobrze.

To jest właśnie zły znak — rzekł doktor do detektywa — wołałbym największą gorączkę.

Po zastrzyknięciu chorej nowej, silniejszej dozy serum, doktor pozwolił jej wstać i przejść się po ogrodzie. Paulin Broquet i jego żona przez cały dzień dotrzymywali towarzystwa nieśczęśliwej, starając się rozerwać ją. Detektyw opuścił willę tylko na parę godzin, by udać się do pułkownika de Fontgrive i wyjaśnić mu, iż pani Garitza jest zagrożona przez bandytów, którzy chcieli wyzyskać jej miłość do pułkownika i zmusić ją terroryzmem do wykradzenia papierów. Dlatego też detektyw ukrył ją na jakiś czas w swojej willi. Pułkownik gorąco podziękował za opiekę.

Na drugi dzień doktor, po zbadaniu chorej zaszepiał się. Ponowił zastrzyknięcia i wziął znowu trochę krwi do analizy. Gdy jej dokonał, rzekł do pani Broquet:

Serum nie działa! Choroba czyni zastraszające postępy. Musimy spróbować innego środka.

Pani Garitza poddała się nowemu doświadczeniu, nie wierząc już jednak w skutek.

— To nic nie pomoże, doktorze! Czuję, że jestem zgubiona.

Nie, pani. Tylko leczenie będzie trwało dłużej, niż przypuszczałem.

Po odejściu doktora chora wstała i przeszła do salonu. Usiadła do fortepianu i grała blisko godzinę.

Nie mogę grać więcej — rzekła wreszcie do pani Broquet — palce mi sztywnieją.

— To zmęczenie.

— Nie, pani, to już koniec. Ale może będę mogła zagrać jeszcze pożegnanie z tą sztuką, którą tak bardzo kochałam. Zagram pani utwór wielkiego artysty, który zawarł w nim ostatnią swą myśl, ostatnie westchnienie, ostatnie uderzenie serca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)